



## MAKSYMILIAN LECHOWSKI

Dnia 28 listopada 1947 r. w Radomiu Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich z siedzibą w Radomiu w osobie członka Komisji adwokata Zygmunta Glogiera przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi.

Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania świadek zeznał, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Maksymilian Lechowski
Wiek	47 lat
Imiona rodziców	Walenty i Lucyna z Woźnickich
Miejsce zamieszkania	Radom, ul. Mleczna 11
Zajęcie	bez zajęcia
Karalność	niekarany
Stosunek do stron	obcy

---

W okresie od początku 1939 do 1946 r. pełniłem funkcję administracyjnego w więzieniu w Radomiu. Przez cały czas okupacji starałem się obserwować działalność władz niemieckich, aby potem dać świadectwo prawdzie.

We wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu 1939 r. cała administracja więzienia znajdowała się w rękach polskich. Dla nadzoru nad aresztowanymi przez Niemców znajdował się oddział gestapowców, w czarnym umundurowaniu, na których czele stał Pochluda – Czech, gestapowiec. Poza tym rozmaitych aresztowanych zwożonych z okolic Radomia przeważnie pilnowała żandarmeria, nie dopuszczając strażników Polaków do tych funkcji.



Pamiętam, że w październiku 1939 r. żandarmeria kilkakrotnie wywiozła po kilkunastu więźniów z radomskiego więzienia w kierunku szosy Kozienickiej. Byli to aresztowani z różnych okolic. Ci ludzie już nie wrócili do więzienia.

Zdaje się, w listopadzie 1939 r. żandarmeria przywiozła do więzienia kilkunastu ludzi – skąd, nie wiem. Pomiędzy tymi aresztowanymi znajdował się młynarz z Gulina. Umieszczono ich w celi nr 6. Wszyscy byli skrupowani sznurkami, ręce mieli związane z tyłu. Przed celą stało dwóch z tej czarnej, niemieckiej załogi więzienia, której komendantem był Pochluda. Ok. godz. 6.00 rano następnego dnia wywieziono wszystkich z tej celi w stronę Kozienic. Gdy poprosili oni o zezwolenie na wypowiedzenie się, ci czarni oświadczyli im, że na nic im się ta spowiedź nie przyda. Przed wywiezieniem odebrano im całą ciepłą bieliznę, pozostawiając ich w letnich ubraniach, pomimo że była zima. Odszedł wtedy jeden samochód.

Wobec tego, że pełniłem służbę przeważnie w dzień, nie przypominam sobie, by w tymże 1939 r. jeszcze jacyś ludzie byli wywożeni na rozstrzelania. W listopadzie 1939 r. gestapo aresztowało prawie całą inteligencję w Radomiu. W więzieniu znajdowali się wtedy wszyscy doktorzy, sędziowie, adwokaci, kupcy, inżynierowie, posłowie Żydzi – w ogóle reprezentanci wszystkich zawodów. Po kilku dniach zaczęto zwalniać – najpierw pojedynczo, a potem masowo, pozostawiając w więzieniu jedynie kilka osób spośród aresztowanych, które następnie wywieziono do obozów.

W 1940 r. wzmożła się liczba aresztowań i rozstrzeliwań, i [to] od chwili, gdy pod koniec marca czy też na początku kwietnia 1940 r. przywieziono większą partię aresztowanych ze strony Chlewisk – ponad sto ludzi. Przywiozła ich wtedy żandarmeria w zielonych mundurach, która równocześnie objęła straż nad aresztowanymi w więzieniu. O ile się orientuję, to żandarmeria, która ich przywiozła, nie była tą żandarmerią, która stale dowoziła aresztowanych do naszego więzienia.

Wszystkich aresztowanych ulokowano na oddziale kobiecym, z którego jest wyjście na sekretne podwórko. Rano widziałem, jak żandarmi wygonili aresztowanych z cel i kazali im wszystkim położyć się na podwórku na asfalcie. Wtedy jeden z żandarmów – tak jakby ich dowódca, miał epolety obszyte srebrną tasiemką i na nich trzy gwoździe – deptał po leżących, kopał ich i bił trzymaną w ręku dużą pałą. Potem kazał aresztowanym biegać wokół podwórka, bijąc przelatujących. Później wyczyniał z aresztowanymi inne harce. Taka gimnastyka trwała ok. półtorej godziny.

Zdaje się, że następnego dnia pościągano z oskarżonych wszelką ciepłą bieliznę i ubrania, sam to widziałem, po czym podjechały pod więzienie samochody ciężarowe, na które wrzucano powiązanych ludzi jak bydło, wsadzając na każdy z samochodów przeciętnie 40 osób, następnie wszystkie samochody odjechały w stronę Firleja. W ten sposób samochody obracały prawie przez cały dzień, wywożąc za każdym razem większą lub mniejszą partię więźniów w kierunku Firleja. Wywieziono wtedy ok. 130 osób. Eskortę stanowili żandarmi. Innych szczegółów postępowania z tą grupą więźniów sobie nie przypominam.

Wiem, że w lutym 1940 r. wywożono z więzienia na Firlej małe partie więźniów, po kilka i kilkanaście osób.

W tej chwili przypomniałem sobie, że wśród tych z Chlewisk, których wywieziono na Firlej, poznałem Papiewskiego i Głogowskiego, którzy zostali zaaresztowani koło Chlewisk jakoby w związku z partyzantką.

Mogę śmiało powiedzieć, że w ciągu 1940 r. nie było dnia, by kogoś nie wywożono na Firlej. Według mnie mogło zostać wywiezionych na rozstrzelanie w 1940 r. do tysiąca osób, i to z samego [tylko] więzienia.

W tymże 1940 r. w maju utworzony został w więzieniu oddział specjalny dla [więźniów] politycznych. Jego kierownikiem został Koch – zwierzę, nie człowiek, który w okrutny sposób znęcał się nad więźniami. Widziałem, jak osobiście z bykowcem w ręku prowadził aresztowanych ze swego oddziału na sekretne podwórko i tam urządzał ćwiczenia, tzw. gimnastykę, w czasie której bił i kopał więźniów. Podczas jednej z takich gimnastyk zdarzyło się, że więzień zmarł. Podejrzec, co się działo na sekretnym podwórku, było dużym ryzykiem, gdyż bez względu na to, że się nawet było strażnikiem, mogło się spowodować, [że] samemu [byłoby się] wywiezionym do obozu.

Do czasu otworzenia oddziału specjalnego ewidencję więźniów prowadziła kancelaria więzienna. Po utworzeniu tego oddziału jeszcze jakoś do 1943 r. [do] grudnia ewidencja prowadzona była przez kancelarię. Od 1943 r. zaczęło ją prowadzić gestapo i codziennie przesyłany był naczelnikowi więzienia li tylko stan liczebny oddziału specjalnego do wiadomości. Czy stan ten zgadzał się z rzeczywistym stanem więźniów – tego nawet naczelnik, Niemiec, nie wiedział. Oddział ten był zupełnie odizolowany. Do tego nawet doszło, że gdy gestapo wprowadzało swoich więźniów na ten oddział, strażnicy polscy musieli stać odwróceny [twarzą] do ścian.

Z chwilą otworzenia specjalnego oddziału zaczęły się stałe wyprowadzania i przyprowadzania więźniów z badań, na które byli prowadzeni na Kościuszki. Do mniej więcej lutego 1943 r. wyprowadzani więźniowie byli każdorazowo kwitowani w książce, która zostawała w kancelarii więziennej. To samo działo się, gdy sprowadzano ich z przesłuchań. Książka ta powinna znajdować się w archiwum więziennym. Od tego też czasu co dzień straż więzienna i ja obserwowaliśmy, jak z badań z Kościuszki prowadzono więźniów tak pobitych, że musiało ich podtrzymywać dwóch towarzyszy. Stan ten trwał przez cały czas okupacji niemieckiej. Wszyscy bez wyjątku prowadzeni na badania byli skuci.

Po odbiór więźniów przeważnie przychodzili: brunet krępy, niski, z wąsikami, mówiący bardzo dobrze po polsku; ryży osobnik o twarzy zwierzęcej; szczupły blondynek, którego nazywano „Stasiem” i wysoki blondyn mówiący słabo po polsku. Zaznaczam, że bardzo często widziałem bardzo mocno pobite kobiety, które wracały z badań [z] Kościuszki.

Przypominam sobie, że w 1940 r. przywieziono z okolic Pionek i Kozienic przeszło sto osób, z których większość została wysłana do obozów. W 1941 r. zaobserwowałem zmniejszenie się [liczby] aresztowań i rozstrzeliwań, które jednak sporadycznie miały od czasu do czasu miejsce. W 1942 r. w lecie przywieziono część aresztowanych w Garbatce.

Zdaje się, w październiku 1942 r. widziałem, jak Koch [wraz z] kręcącymi się przy nim ryżym, brunecikiem z wąsikami i kilkoma innymi gestapowcami wyprowadzili z oddziału IV po dziesięciu więźniów, których następnie w wartowni, mieszczącej się na dole w więzieniu, związano sznurkami. Takich grup po dziesięć osób wyprowadzono cztery. Kobiety wyprowadzono w ostatniej, czwartej partii; one również zostały powiązane. Kierownikiem, tak przynajmniej wyglądało, był mówiący dobrze po polsku Josef Bauer, który, gdy tylko miała mieć miejsce egzekucja, zawsze kręcił się po więzieniu.

Wszystkich tych 40 [ludzi] załadowano na samochody, które stały przed więzieniem. Na każdym samochodzie leżały kozły z brzózek (szubienice). Jeszcze przed załadowaniem aresztowanych na samochody Koch wszedł do celi nr 4 zajmowanej przez Żydów i wezwał czterech ludzi do pracy. Tym czterem, którzy się zgłosili, dał na korytarzu pastę do butów i kazał im się nią wzajemnie smarować po twarzy. Mieli zrobić sobie wąsy i baki. Tych czterech Żydów załadowano wraz z partią 40 ludzi na samochody stojące przed więzieniem i gdzie wszystkich powieszono. Jak się potem dowiedziałem, wszyscy 40 zostali powieszani w rozmaitych okolicach Radomia.

Żydów przywieziono z powrotem do więzienia, a jak później ich zapytałem, co za robotę mieli, jeden z nich odpowiedział: „Nie chciałbym już nigdy takiej roboty wykonywać”.

Bauera poznałbym w każdej chwili. Słyszałem, jak Meyer – jeden z pomocników na oddziale specjalnym Kocha – mówił, pokazując palcem na czoło, że Koch jest „verrückt”.

W 1942 r., zdaje się, w listopadzie Koch zastrzelił własnoręcznie trzech więźniów, którzy jakoby usiłowali zbiec. W 1942 r. wywożono z więzienia masami transporty do obozów. Orientowaliśmy się, kiedy będzie transport, gdyż Koch dobierał do niego więźniów kryminalnych, których następnie zabierał do siebie. Jak słyszałem od strażników, przed transportem wszyscy więźniowie musieli leżeć pokotem na ziemi na korytarzach. Leżeli tak czasem i kilka godzin bez ruchu. Potem Koch własnoręcznie wiązał im ręce z tyłu sznurkami, [które] były dostarczane każdorazowo do więzienia przed transportem. Były wypadki, że więźniowie musieli w oczekiwaniu na transport klęczeć na dworze – z reguły zaś klęczeli na samochodach, którymi odwożono ich na dworzec.

Ile tych transportów było, nie mogę się zorientować, [w każdym razie] bardzo dużo. Natomiast w okresie 1939–1945 według mnie wywieziono z więzienia [w] Radomiu przeszło pięć tysięcy osób – z tego część została na miejscu rozstrzelana.

Od czasu do czasu przychodził na oddział IV Fuchs. Na oddziale IV siedzieli [także] Żydzi. Ich los był straszny, gdyż Koch stale się nad nimi znęcał. Żydzi siedzieli też na innych oddziałach – większość z nich była do dyspozycji *Sondergerichtu*. Na przykład za wyjście z getta zostało skazanych i następnie rozstrzelanych ok. 50 Żydów. Rozstrzeliwało Schupo, przynajmniej oni przychodzili po odbiór ofiar.

Z oddziału IV przez całe dni i noce dochodziły nas tylko krzyki i jęki bitych i maltretowanych więźniów. Słyszałem, że Koch każdego z nowo wprowadzonych na oddział przyjmował w ten sposób, że kazał [mu] się rozbierać do naga i bił bykowcem, kopiąc go przy tym. Widziałem, jak Koch wpadał czasem do celi, wchodził na stół i wzywał do siebie więźnia, którego – gdy ten podszedł – kopał, gdzie trafił. Przy jednym takim biciu spadł ze stołu, wtedy tak się wściekł, że wszyscy pozostali w celi zostali przez niego pobici.

Bywały wypadki, że z badań przyniesiono trupa. Wtedy zawijano go w gazetę lub papier, wiązano sznurkiem i wynoszono do klozetu mieszczącego się na podwórku więziennym. Potem przyjeżdżał samochód, który tego trupa zabierał i gdzieś wywoził.

Wiem, że [zazwyczaj] Koch i jego współpracownicy zabierali większość prowiantu dostarczanego aresztowanym przez rodziny i Czerwony Krzyż. Widziałem, jak Koch zabierał i wynosił z więzienia całe paki prowiantu. Potem przyjeżdżał nawet samochód w każdy czwartek i, nie kryjąc się z tym, ładowano na to auto wszystkie paczki przeznaczone dla więźniów, które gdzieś wywożono.

Znajdujące się na aktach więziennych adnotacje: „KZL” i „ubył” były sporządzane przez Guncelmana [Guntzelmanna?], wachmeistra więziennego, który po każdym transporcie osobiście te adnotacje wstawiał.

W 1943 r. w dalszym ciągu przywożono coraz to nowych aresztowanych, jak również stale wywożono na rozstrzelania. Z powodu ścisłej izolacji możliwość obserwacji mocno zmalała. Zdaje się, w 1943 r. przywieziono większą liczbę ludzi z ul. Traugutta, było to aresztowanie LHD [Luftschutz- und Hilfsdienst]. Co z nimi potem zrobiono, nie wiem. Widziałem jedną kobietę, córkę aptekarza kolejowego, Wasikównę, której całą rodzinę aresztowano – przywieziono ją z Kościuszki tak pobitą, że ciało odchodziło od kości. Nie przeszkadzało to, by stale, pomimo ran, brać ją na przesłuchania.

W 1942 i 1943 r. urzędował lekarz Fijas, który każdego więźnia doprowadzonego do zbadania przyjmował słowami: „Po co tu przyszedłeś, bandyto?”. To był w ogóle jakiś dziwny i niewyrozumiały człowiek.

Przypominam sobie, jak w 1940 r. z partii [aresztowanych] przywiezionej z Chlewisk ok. 33 ludzi ulokowano w celi szpitalnej kobiecej, chwilowo pustej. Przed drzwiami stało dwóch żandarmów, którzy nikogo do celi nie dopuszczali. Po pewnym czasie zauważyłem, że z dnia na dzień coraz to mniej osób wychodzi z tej celi na przechód, a ci, co wychodzą, jakoś dziwnie się chwieją na nogach. Porozumiałem się wtedy z dr. Jankowskim i poradziłem mu, by udał się do naczelnika więzienia, Niemca, i powiedział, że ci ludzie mogą roznieść tyfus w więzieniu, gdyż nie dawano im już od kilku dni jedzenia i nie byli kąpani ani myci. Wtedy to dr Jankowski udał się do naczelnika i uzyskał zezwolenie na wejście, gdzie skonstatował, że ludzie już z głodu marli. Wtedy wyraził się, że może jest to tyfus, co spowodowało, iż straż momentalnie została usunięta i można było te osoby uratować. Z tych 33 ludzi zaledwie jednego zwolniono, gdyż dostał pomieszczenia zmysłów, resztę wywieziono do obozu.

Tak zeznałem.

Odczytano.